Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 28.

dnia 12. Czerwca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Ryszard dobrze wpierw rozważył, nim co postanowił. Chociaż czując się na siłach, wiedział, że zadaniu podoła i dziennik potrafi redagować, nie chciał brać się do tego sam jeden, to jest bez pomocy człowieka, któremu by bezwzględnie mógł zaufać.

Współpracowników łatwo było znaleźć, piszących bowiem było w stolicy więcej niż potrzeba; ci jednak w razie gdyby on sam bądź zachorował, bądź z konieczności na dłuższy czas gdzie wyjechał, nie umieliby go zastąpić. Potrzebował zatem zastępcy i przyjaciela.

Myśl jego padła na Stanisława.

Z przyjaciół, których z bolem serca musiał odesłać nazad do Paryża, ten jeden jako nieżonaty, mógł w Galicji zostać i łatwiej tu się utrzymać. Ryszard znalazł mu miejsce w warstatach kolejowych, gdzie za 30 guldenów miesięcznie, od rana do wieczora ciężko pracował. A człowiek to był lepszego rodu i niegdyś słuchacz uniwersytetu kijowskiego. Za lat młodszych okazywał nawet szczególne zamiłowanie do literatury. Wyrzucony nagle na bruk paryski, musiał aby żyć, wziąć się do pracy ręcznej. Znalazł więc umieszczenie we fabryce broni. Dziś pracował dalej jak robotnik, chleba bowiem bez troski, który mu Ryszard u siebie ofiarował, pod żadnym warunkiem nie chciał przyjąć. Wszakże równocześnie ta duma szlachetna wcale mu nie przeszkadzała tęsknić do pracy odpowiadającej więcej jego zamiłowaniu i do życia wśród ludzi nie tak prostych i nieokrzesanych, jak robotnicy fabryczni.

Wielką też była jego radość, lecz razem i zdziwienie, gdy Ryszard przyszedłszy go odwidzieć jak według zwyczaju, po krótkim wstępie wręcz mu oświadczył, że postanowił go zabrać, aby mu w redakcji pomagał.

W pierwszej chwili Stanisław z radości na szyję mu się rzucił, wkrótce atoli wzięła nad nim górę skrupulatność człowieka uczciwego. Westchnąwszy więc tak przemówił:

— Napróżno ucieszyłem się mój przyjacielu.

— Czem?

— Bo twojej propozycji przyjąć nie mogę.

— A to z jakiego powodu?

— Bo nie byłbym ci pomocą mój Ryszardzie, raczej zawadą! Czegom się dawniej uczył, dawno zapomniałem, lat kilkanaście zamiast pióra trzymałem pilnik; gdzie mi zatem marzyć o pracy umysłowej!

Nasz przyjaciel długo potrzebował mu tłumaczyć, zanim go wreszcie przekonał, że z początku będzie pismu bardzo użyteczny jako administrator, który potrzebuje być nie tyle zdolnym ile uczciwym. Stanisław dał się w końcu namówić, podziękował za miejsce w warstatach kolejowych i w mieście z Ryszardem zamieszkał.

Ojciec Samuel, którego dawno straciliśmy z oczu, pędził teraz ciche życie w klasztorze stolicy. Zakonnicy chcieli go gwardjanem zrobić, on jednak wymówił się od tej godności i przyjął tylko obowiązki kustosza bibljoteki klasztornej. Ryszard ilekroć był w mieście, czy to sam, czy z ojcem, zawsze go odwidzał, i nieraz na pogawędce w celi

jego do północy przesiedział. Ojciec Samuel bardzo go lubił, nawet kochał, wszakże uczucia jego jeszcze się spotęgowały, odkąd nasz przyjaciel zaczął z nim coraz więcej o polityce rozprawiać. Uszczęśliwiony zakonnik tak go słuchał, że często nawet o tabaczce zapominał.

Jakaż dopiero była jego radość, gdy usłyszał, że Ryszard postanowił polityczny dziennik założyć. I nie tylko myśl go ucieszyła, że odtąd będzie otrzymywał o jedno pismo więcej, w którem codzień będzie się spotykał z nowemi kombinacjami politycznemi, ale przedewszystkiem to mu prawdziwą rozkosz sprawiało, że poznawszy Ryszarda, jako młodzieńca pełnego zasad szlachetnych i religijnych, nie wątpił, iż pismo jego nie pójdzie drogami bezwyznaniowemi.

— W naszych dziennikach — mówił — człowiek nieraz czyta takie rzeczy, że mu włosy stają na głowie! — ojciec Samuel był łysiuteńki — i niewiadomo kto ich uczy takich zasad. Religję wyśmiewają, chociaż na jej miejsce nie umieją postawić nic rozumniejszego, z przykazań bożych drwią sobie, suknia kapłańska jest u nich w poniewierce.. Wielka też będzie twoja zasługa panie Ryszardzie, jeżeli w dzienniku swoim będziesz krzywe drogi prostował i Polakom przypominał, że są katolikami a nie bezwyznaniowcami. Ach! ta bezwyznaniowość! To grzech najcięższy dzisiejszego społeczeństwa! A komu mamy ją zawdzięczyć, żydowstwu!...

Radość ojca Samuela była największa, gdy na dzień przed wydaniem pierwszego numeru, Ryszard przyszedł go prosić o odprawienie Mszy św. na intencję nowego pisma. Zacny kapłan uściskał go i do łez się rozczulił.

— Będziesz miał powodzenie mój synu — rzekł — bo kto z Bogiem, z tym Bóg! Gdybyśmy tak wszystkie nasze czynności od Niego zaczynali, nie wiedzielibyśmy co zawody i rozczarowania.

Nazajutrz o godzinie 8 rano ojciec Samuel przed ołtarzem bocznym czytał Mszę cichą, a Ryszard i Stanisław słuchali jej klęcząc.

W kościele wiernych jeszcze nie było. Tylko o kilkanaście kroków głębiej klęczała jakaś kobieta w czarnej sukni z gęstą woalką na twarzy. Książki do modlenia nie miała w ręce; zapewne modliła się z pamięci.

Gdy po Mszy Ryszard kapłana do zakrystji odprowadziwszy, z kościoła wychodził, owa kobieta zdawała mu się uważnie przypatrywać i dopiero gdy obok niej przechodził, na posadzkę oczy spuściła. Ryszard jakby czemś tknięty, spojrzał na nią, lecz z powodu gęstej woalki nie mógł dostrzedz jej rysów.

W kilka minut po jego oddaleniu się i ona krokiem wolnym wyszła z kościoła.

Tegoż dnia o ogodzinie 6 wieczorem pojawił się w stolicy pierwszy numer dziennika pod napisem: *Przyszłość.*

ROZDZIAŁ IV.

GNIEW REDAKCYJNEGO ACHILLESA.

Nikt sobie nie wyobrazi wrażenia, jakie w redakcji *Teraźniejszości* sprawiło pojawienie się pierwszego numeru *Przyszłości.* Gdyby piorun z jasnego nieba padając, uderzył był w kałamarz stojący na biurku pana Walerego, członkowie areopagu nie byli by bardziej zdumieni. Dawniej, ilekroć miał się pojawić nowy dziennik, już naprzód na kilka miesięcy, czasem nawet na rok cały, mówiono o nim tak w kraju jak na prowincji, zbierano kapitały, szukano współpracowników, usiłowano zabrać *Teraźniejszości* siły najlepsze i zgóry głoszono, że organ, który się pojawi, zaćmi wszystkie w około siebie. Tym razem nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się zanosiło na coś podobnego, a tu nagle pojawia się dziennik duży, okazały, pięknie drukowany, krótko mówiąc taki, jakiego dotąd nie widziano w stolicy. Nie byłaż to więc niespodzianka?

Jak dzieci, gdy im ojciec pokazuje książkę z obrazkami, przy nim się skupiają i jedno przez drugie chciałoby piękne rzeczy pierwsze zobaczyć, tak i członkowie redakcji rzucili się do biurka pana Żylewicza, który siedząc *Przyszłość* przeglądał. Jeden wołał, żeby kto głośno przeczytał artykuł wstępny, w którym był zapewne polityczny program nowego pisma, recenzent prosił, by mu powiedziano czy nie ma co o teatrze, kaszlący poeta pragnął przejrzeć *Kronikę*, aby ją ze swoją porównać, nawet poważny profesor pytał, czy nie ma tam przypadkiem oryginalnych korespondencyj ze Stambułu lub z Rossji południowej. Pan Walery nie mogąc wszystkich od razu zadowolnić, krzyknął:

— Idźcie do djabła szwajnogi! Kiedyście ciekawi, to kupcie sobie drugi egzemplarz.

Rada była dobra, choć może w formie nie zbyt grzecznej udzielona. Areopag cofnął się na środek pokoju i po niejakim czasie członkowie jego zło-

żywszy 20 centów, posłali służącego aż po dwa egzemplarze *Przyszłości*. Gdy te przyniesiono, popodzielili się na dwie części i czytać zaczęli. Trwało najmniej pół godziny, za nim się pierwsze głosy odezwały.

— Organ reakcyjny! — krzyknął pan Walery. — We wstępnym artykule mówi wyraźnie, że w obec żydów powinniśmy zająć stanowisko odporne. Znaczy to innemi słowy, że ich równouprawnienie jest dla nas zgubne. Ależ to reakcja, czysta reakcja!

— Ciekawym, co chce przez to powiedzieć — odezwał się profesor — że jedynie takie rzeczy będzie popierał, które wyjdą na korzyść całej Polski, a nie jednej tylko Galicji.

— Frazes! frazes! — zakonklunował pan Żylewicz. — Chcieć w Galicji prowadzić politykę polską, to utopia!

— Kronika nie zła, tylko mało w niej wiadomości brukowych — zauważył poeta.

— Wiadomości policyjnych całkiem nie ma! — dodał z radością Mojżesz Silberstein. — Jeszcze dziś muszę pójść do policji i komisarza poprosić, żeby *Przyszłości* tych rzeczy nie udzielał.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się recenzent — czytaliście co on tu napisał? „Że panna Julja, zrozumiawszy należycie autora, grała rolę Marji Stuart w wyższym stylu.“ Cha! cha! cha! to mu się udało!... Biedakowi zdaje się, że tak samo jak pisać, można i grać w wyższym stylu.

— Część gospodarska za wielka — mruknął znowu pan Walery.

— Ciekawym czemu *Przyszłością* się nazywa? — ktoś zapytał.

— A to głowa do pozłoty, kiedy nawet zrozumieć nie może! — odparł Żylewicz. — Wszak skoro *Teraźniejszość* jest postępową i liberalną, to zaś pismo, jak widzimy, jest na wskroś reakcyjne, więc jego redaktor prawdopodobnie życzy sobie i o to będzie się starał, żeby reakcja przynajmniej w *przyszłości* zapanowała.

— Więc to zapewne Stańczyki założyli! — recenzent zawołał.

— Prędzej jakiś półgłówek! — głos drugi zapewniał.

— Zobaczymy kto podpisany! — trzeci zauważył.

Spojrzeli na koniec dziennika. Tam było wydrukowane: Właściciel i naczelny redaktor Ryszard Gozdawa.

— A! to ten ptaszek! — pan Walery krzyknął. — To ten doktor, lub raczej osioł aż dwóch fakultetów! Jeżeli mu się zdaje, że tak samo łatwo dziennik redagować, jak chorych zabijać, lub Sofoklesa błędnie tłumaczyć, to grubo się zawiedzie. Dyletantów dziennikarz wytrawny nie potrzebuje się obawiać!

Z kąd ten okrzyk w ustach pana Walerego Żylewicza? Miałże by on znaczyć, że obok *Teraźniejszości* nie było już pomieszczenia dla drugiego dziennika, i że każde nowe pismo miało by na jej byt godzić? Niestety tak było w rzeczywistości.

Galicja, mimo że liczy 6 miljonów mieszkańców, z powodu iż między nimi jest przeszło połowa Rusinów i Żydów, którzy po polsku nie czytają, jak nie mniej i dla tego, że pozbawiona przemysłu, nie ma licznej i zamożnej inteligencji, nie mogła z dawien dawna obok *Teraźniejszości* utrzymać drugiego pisma niezawisłego. Te, które wychodziły, bądź stały fundaszami rządowemi, bądź były organami pewnych stronnictw, których członkowie własnemi pieniądzmi swój organ podtrzymywali, bądź też wlokły żywot suchotniczy, kończący się zawsze rychłą śmiercią. Ilekroć zatem pojawił się nowy dziennik większych rozmiarów, pytano zawsze: Kto kogo zmoże? Czy on *Teraźniejszość*, czy też ona jego? Takie samo pytanie zadawali sobie także członkowie obydwu redakcyj, a że najczęściej byli to biedni literaci, więc od istnienia pisma, dla którego pracowali, zależała i ich egzystencja. Jak się z tego okazuje, w pierwszym rzędzie nie tyle im szło o zasady, ile o chleb. Teraz rozumiemy dla czego pan Walery z taką zapamiętałością rzucał się zawsze na dziennik świeżo powstający i czemu samo pojawienie się *Przyszłości* wywołało tak wielkie wrażenie w redakcji *Teraźniejszości*. Dodajmy do tego jeszcze jeden powód. Nikt nie zaprzeczy, że odkąd w Galicji zaprowadzono wolność prasy, dziennikarstwo działając to postrachem, to pochwałą stosownie do okoliczności, stało się rodzajem władzy najwyższej, z którą kraj musiał się liczyć. Jak dotąd *Teraźniejszość* była sama jedna władzą absolutną; w razie, gdyby się drugi dziennik obok niej utrzymał, musiała by się nią podzielić... A gdzież ludzie, którzy by władzy nie bronili i dobrowolnie jej się wyrzekali? Wszak nawet państwa dopiero wtedy zmieniają się z absolutnych na konstytucyjnie, gdy je do jego zmusza siła wypadków.

Pan Walery wprawdzie zawołał, że dziennikarz

wytrawny nie potrzebuje obawiać się dyletantów, lecz żaden z jego kolegów okrzyku tego nie potwierdził, ni też on sam nie wypowiedział go takim tonem, iż by można przypuścić, że wypłynął z jego głębokiego przekonania. Raczej wszystko, co się teraz działo w redakcji, zdawało się wskazywać coś wręcz przeciwnego.

Pierwszy numer *Przyszłości*, jakkolwiek nie był zredagowany przez dziennikarza z zawodu, wyglądał bardzo przyzwoicie, a co nierównie ważniejsze, nosił na sobie ślady niezaprzeczonego talentu. Widoczną było rzeczą, że ten, kto w nim napisał główne artykuły, był człowiekiem wyższego umysłu, zdolnością, których w Galicji bardzo mało. Bystry umysł odkryje talent w dziesięciu nawet wierszach, a że redakcja *Teraźniejszości* składała się bądź co bądź z ludzi mniej lub więcej zdolnych, więc też każdy z nich przyznawał w duchu, że redaktor *Przyszłości* nie jest bez talentu. Pan Walery, lubo nie chętnie, także to sobie powiedział. Jak na początek, była to dla nich klęska, a wielki tryumf dla Ryszarda.

Pan Wyżyński bawił w tym czasie kilka dni na wsi; tam też otrzymał pierwszy numer *Przyszłości*. Że mu zrobił niespodziankę i przy tem niemiłą, o tem wątpić nie można. Chleb jego był gorzki, okupywany wśród walki bezustannej tysiącznemi przykrościami i o tyle jeszcze niepewny, że każdy nowy dziennik mógł mu go odebrać. *Teraźniejszość* potrzebowała 2000 stałych przedpłacicieli, żeby siebie utrzymać i jako tako redakcję wyżywić. Po odtrąceniu wydatków, panu Wyżyńskiemu zostawało niespełna 3000 guldenów, kwota, jak widzimy, bardzo skromna dla człowieka z jego stanowiskiem i mającego dość liczną rodzinę; najmniejszy ubytek z liczby owych 2000 abonentów dawał się zatem najpierw jemu uczuwać, trudno bowiem było zaprowadzić oszczędność w redakcji, a co do druku i papieru, te rok rocznie kosztowały drożej, nie taniej. W razie ubytku w liczbie przedpłacicieli, sam naczelny redaktor i właściciel gazety musiał się tedy zaoszczędzać, a ilekroć to nie pomagało, robił długi. Ponieważ w ciągu swojej karjery dziennikarskiej miał nie raz i nie dwa groźnych współzawodników, więc i niedobór jego był stały, w najlepszych bowiem czasach nigdy tyle nie zebrał, by prócz pieniędzy na odpędzenie potrzeb bieżących, miał także oszczędności na pokrycie niedoboru ze złych czasów.

Gdyby pan Wyżyński szedł był torami prasy zagranicznej, mianowicie wiedeńskiej, której wszystko i wszyscy muszą się opłacać, nie tylko nie był by miał długów, lecz owszem próżna dziś jego kasa była by po wierzch wypełniona banknotami i akcjami. Jakkolwiek Galicja nie ma przemysłu i handlu zdrowego, w każdym razie tyle w niej rozwija się interesów materjalnych, że przynajmniej taka jedna *Teraźniejszość* chcąc, mogła mieć znaczne dochody uboczne. Każda kolej, każda spółka, nawet każdy nowopowstający młyn parowy, był by się jej chętnie opłacił, gdyby mu tylko wpierw zęby pokazała. Dzienniki biorą częściej za milczenie niż za popieranie... Wiedział to pan Wyżyński, lecz mimo iż nawet bieda nie raz mu dokuczała, nie splamił się nigdy sprzedajnością. Co więcej, on tak szczytnie pojmował zawód dziennikarski, że nie był by przyjął nawet za to prezentu, co z własnej woli napisał. Sam chciał być czystym i był nim jak kryształ. Że pan Walery przyjmuje piątki, nawet guldeny, wiedział oddawna, lecz temu, mimo iż się o to starał, nie mógł przeszkodzić, zresztą i tem się pocieszał, że Żylewicz brał jedynie za drobiazgi, nie za sprawy ważne, których kierownictwo spoczywało w jego dłoni, jako naczelnego redaktora.

Zaledwie ze wsi wróciwszy, przyszedł do redakcji, stanął przed nim Żylewicz. Obadwa wiedzieli o czem mówić będą, mimo to jeden czekał na drugiego, aby pierwszy zaczął.

— Więc mamy współzawodnictwo? — po niejakim czasie pan Wyżyński pierwszy przemówił.

— A mamy — odrzekł Żylewicz.

— Jeźli się nie mylę, redaktorem i wydawcą *Przyszłości* jest ten sam młody człowiek, który tu raz do mnie przychodził z żądaniem, bym Sterna nie popierał.

— Tak jest, ten sam.

— O ile dotąd mogłem wywnioskować, *Przyszłość* będzie pismem ściśle zachowawczem.

— Jabym tego niepowiedział, — odparł pan Walery.

— Czy spostrzegłeś pan w niej co innego?

— Przedewszystkiem widzę w niej kierunek samodzielny. Na pierwszy rzut oka zdawało by się, że jest konserwatywną, nawet po stańczykowsku ultramontańską, wcale się bowiem nie tai, że żydów nie lubi, na liberalizm niestworzone rzeczy wypisuje, i nie ma dnia, żeby nie mówiła o potrzebie

zachowania czystości naszej religji, tymczasem równocześnie zarzuca delegacji we Wiedniu brak myśli politycznej, twierdząc, że nie rozumie interesów całej Polski. Już to jedno wskazuje, że nie ma ona żadnych stosunków z konserwatystami, ci bowiem w delegację wierzą jak w Boga i o jakiejś tam polityce ogólno-polskiej, co by za rzecz rewolucyjną uważali, boją się mówić...

Na te słowa Żylewicza pan Wyżyński nic nie odpowiedział. Miałożby to znaczyć, że i on jego zdanie podzielał?

— Jakże w obec niej będziemy się zachowywali? — pan Walery zapytał po chwili.

— A jakbyś pan radził?

— Bić tak mocno, żeby ją zabić na śmierć... i to im prędzej, tem lepiej.

Pan Wyżyński gorzko się uśmiechnął.

— Broń nie godna ludzi uczciwych! — odpowiedział. — Czy to pięknie, w pismie mojem, lubo bez mojej wiedzy, a zawsze wbrew mojej woli, tyle już razy napadałeś pan naszych przeciwników?

— A ja sobie z tego powodu nie robię żadnych wyrzutów.

— To bardzo źle, panie Walery... Przecie Galicja dosyć duża, dwa pisma uczciwe mogą istnieć obok siebie.

— Kto panu powiedział, że *Przyszłość* jest uczciwą? Najpierw nie jest nią, bo ma program naszemu przeciwny, a tymczasem wszyscy przyznają, że jedynie *Teraźniejszość* chce i pracuje dla dobra kraju; następnie godzi na naszą egzystencję, nareszcie mając znaczne fundusze, może łatwiej niż pisma dawniejsze, wytrzymać z nami konkurencję. Przeciwnik rozporządzający takiemi środkami, jest niebezpieczny, a ktokolwiek jest niebezpieczny, nie może być uczciwym nazwany.

Pan Wyżyński uśmiechnął się słysząc taką argumentację.

— Więc pan sądzisz, że *Przyszłość* ma pieniądze? — zapytał.

— Bez żadnej wątpliwości! Właśnie wczoraj dowiedziałem się ze źródła najpewniejszego, że Gozdawa dostał po matce kilkadziesiąt tysięcy... Nosi się nawet z zamiarem założenia własnej drukarni. Ciekawym czy mu damy radę, gdy to nastąpi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Lato było na schyłku, a w Ettersberg i Brunneck bawiono się dotąd — jak się młody hrabia wyrażał — w Montechi'ch i Capuletti'ch. Im twardziej jednak rodzice trwali przy swoim oporze, tem goręciej kochali się młodzi. Widywano się mimo surowego zakazu dosyć często, a pisywano do siebie niemal codzień. Panna Lina była zupełnie po stronie młodej pary, i do spisku należała. Uznała, że lepiej wziąć te schadzki pod swoje opiekuńcze skrzydła, i nadać im pewną legitymację przez jej obecność, niż żeby się widywali potajemnie i wciągali sługi do swojej tajemnicy. Młoda para nie była o tyle sentymentalnie usposobioną, aby chwilowe niepowodzenie brać zanadto tragicznie. Gdyby im było wszystko gładko poszło, może by wkrótce byli się sobą znudzili; opór rodziców, nadawał dopiero ich miłości cechę prawdziwie romantyczną. Pogrążyli się w tym romansie z całą gorliwością swoich lat ośmnastu i dwudziestu czterech, znajdując swoją wierną miłość nader zajmującą i poetyczną, a siebie poczytując za istoty wyższe, heroiczne. Chociaż hrabina stała dotąd niewzruszenie przy tradycjach rodu Ettersber'gów, a radca bronił wściekle swoich zasad demokratycznych, były jednak pewne oznaki, że szturmom co dzień przez dzieci ukochane i rozpieszczone przypuszczanym, nie długo już oprzeć się potrafią, i wkrótce będą kapitulować.

Rozwiązanie ostateczne tej kwestji drażliwej, przyszło wcześniej niż się obie strony spodziewały. Panna Lina wyjechała na kilka dni do miasta po sprawunki i wróciła niczego się nie domyślając do Brunneck, który w otwartej wojnie z Ettersberg'em zostawiła. Zdziwiła się gdy na ganku witał ją radca, a Jadzi nigdzie dostrzedz nie mogła. Spytała o nią.

— Jadzia — mruknął radca z miną na poły wachającą, a na poły kwaśną. — Niemasz jej w domu, ale później się zjawi.

Nie badała dalej. Domyślała się, że podczas jej niebytności, musiało przyjść do sprzeczki między ojcem a córką, której nie było komu załagadzać, i dla tego Jadwiga z oczu mu zeszła. Przywoziła z sobą wiadomość, o której była przekonaną, że potrafi zatrzeć wszelkie nieporozumienie i rozjaśni czoło radcy, choćby jak było chmurami okryte. Skoro weszli do pokoju przemówiła:

— Przywożę ci kuzynku wielką nowinę! Adwokat miał ją posłać telegramem, lecz ja chciałam sama zwiastować ci coś tak pomyślnego. Wygrałeś proces w pierwszej instancji, Dornau Jadwidze przyznano.

Rzecz szczególna! Efekt był o wiele mniejszy, niż się Lina spodziewała. Chmurne czoło cokolwiek się

wyjaśniło, lecz skrzywienie i skwaszenie z twarzy nie ustępowało, gdy zawołał:

— To mnie cieszy! bardzo cieszy mimo wszystkiego!... Gdyby tak było przyszło o kilka tygodni wcześniej!... teraz cała moja uciecha popsuta. Więc proces wygrany?

— W pierwszej instancji dopiero. Twój adwokat ma jednak niepłonną nadzieję, że i w innych wygrasz, mimo energicznych rekursów strony przeciwnej.

— Rekursów nie będzie!... — machnął radca ręką z miną pierwotną, jakby zawstydzoną i zafrasowaną.

— Ależ będą! o tem wątpić nie można. Twój adwokat już się z replikami do wszystkich instancji przygotował.

— Mógł sobie oszczędzić niepotrzebnej fatygi! — mruknął radca gniewnie. — Proces załatwiony, a koniec piosenki, że Dornau przecież się złączy z Ettersberg'em!

— Z Ettersberg'em? Mówię ci przecie!... Mój Boże! kuzynku, cóż się znowu znaczy ta twoja mina ponura? Gdzie Jadzia? Co się tu stało? Czy chora, czy może nawet...

— Nie alteruj się tak dalece — przerwał radca pytania pełne niepokoju. — Jadzia jest zdrowa i wesoła, a bawi zresztą tam! w Ettersberg, u swojej przyszłej teściowej. No, no usiądź tylko Lina. Nie mogę ci brać za złe twego osłupienia, bo i ze mną to samo się działo.

Panna Lina upadła jak martwa na najbliższe krzesło, wlepiwszy wzrok pełen zdumienia w mówiącego.

— Ta młodzież ma kolosalne szczęście! O włos, nie byłabyś nikogo z nas zastała pomiędzy żyjącymi Lino. Hrabina tylko co nie utonęła, a ja o mało karku nie skręciłem.

— Przez miłosierdzie Boże! I to nazywasz szczęściem kolosalnem! — krzyknęła Lina przerażona.

— Mówię przecie „tylko co“. Koniec końców zaręczyny z tego wypłynęły, a wszystko szło galopem na złamanie karku. Śmiertelne niebezpieczeństwo, rozczulenia, ściskania... my starzy pomiędzy tym całym wirwarem, opamiętujący się dopiero przy ważnej misji błogosławieństwa rodzicielskiego, udzielonego klęczącej u nóg naszych parze. O te przeklęte hrabiowskie rumaki! Już ja bym je oduczył stroić takie figle! Dla czego moje konie nigdy się nie zbiegają?

— Ale cóż mnie na miły Bóg! konie obchodzić mogą? — Lina z rozpaczą zawołała. — Tym sposobem nie dowiem się nigdy co się właściwie stało? Opowiadaj że przecie jakoś porządnie!

— No pewnie, trzeba ci to spokojnie opowiedzieć — i radca od tego zaczął ów opis spokojny, że wielkiemi krokami przemierzał salon w szersz i wzdłuż, jak to zwykł był czynić, gdy był nadzwyczaj wzburzony.

— A więc przedwczoraj jedziemy z Jadzią w odwidziny do Neuenfeld'ów. Wiesz że trzeba przejeżdżać przez sam grzbiet góry „Jelenim skokiem“ nazwanej. Góra stroma niesłychanie, a w tem miejscu dróżyna tak wązka, że ledwie dwa powozy minąć się mogą. Na nieszczęście, w tem właśnie miejscu, spotykamy nadjeżdżający ekwipaż hrabiny. My naturalnie ignorujemy się nawzajem, ale nasi automedony tem zawzięciej na siebie wpadają. Krzyczę i walę pięścią w plecy Jana, żeby wstrzymał konie i nasze stają; ale tamten łotr na nic nie zważa i konie plączą się pomiędzy sobą. Dzikie bestje, prawdziwe Ettersbergi! biorą na kieł, stają dęba jak świece do góry, a potem jak nie pójdą! nam koła dwa u powozu druzgocąc. Wyskakuję z powozu, oho! wstrzymuj wiater w polu! Unoszą z góry że aż się w oczach ćmi. Woźnica spada jak piłka z kozła na ziemię, a drągal wygalonowany zamiast chwytać za cugle, krzyczy w niebogłosy i oburącz trzyma się siedzenia. Hrabina wydaje także w powozie jęki o pomoc błagające, a te konie djabelskie lecą prosto w jezioro, jakby umyślnie u stóp góry czekające, by wszystko razem, w swoich falach niezgłębionych pochłonąć.

— Okropność! Okropność! — Lina obiema dłońmi oczy sobie przysłoniła. — I z nikąd pomoc nie przybywała!

— No, ja tam przecie byłem — odparł radca sucho. — W wielkiej potrzebie, mogę i ja się zabawić w anioła wybawiciela, chociaż to nie należy do moich codziennych zatrudnień. Do długiego namysłu czasu nie było, a lecieć za powozem także nie było po co. Na szczęście staliśmy właśnie nad ścieżką, która drogę powozową wijącą się w ślimaka o połowę przecinała. Jakim cudem zbiegłem pędem aż na dół, ani razu się nie potknąwszy, do dziś dnia nie wiem, dość że stanąłem z powozem jednocześnie i przed samem jeziorem go zatrzymałem.

— Dzięki Najwyższemu! — Lina oczy wzniosła w górę i ręce złożyła.

— To i ja powiedziałem, ale trochę później. W pierwszej chwili byłem wściekły, z omdlałą hrabiną na karku i z tym jej drągalem za całą pomoc, który ze strachu zgłupiał do reszty i był tak samo jak jego pani nieprzytomny. Parę dzikich koni potrafię od biedy poskromić; ale obejść się z nerwowemi damami, które mdleją! Brrr! tego nigdy nie potrafię! Za mną w tropy nadleciała Jadzia, później nadszedł nasz Jan i woźnica z Ettersbergu, mocno wprawdzie kulejący i z guzem jak gęsie jajo na czole, ale to mu się należało, temu łotrowi i jeszcze wiele więcej. Po co jechał tak po warjacku! On całe nieszczęście sprowadził.

— A hrabina?

— Hrabina została nietknięta dzięki Bogu! Zanieśliśmy ją do najbliższej chaty polowego, gdzie też wkrótce oprzytomniała. O jechaniu mowy nie było! Kochane koniki, gdym je wstrzymał nad wodą, urządziły sobie zabawkę na waletę i nie mogąc wszystkiego utopić, przynajmniej dyszel na kawałki połamały. Nasz powóz, był przez nie także uszkodzony. Wyprawiłem więc lokaja na jednym z moich koni do Ettersberg po inny powóz, a Jana i polowego, aby pomogli podnieść powóz hrabiny i odplątać konie, które ociekłe

krwią i pianą, drżały teraz nad brzegiem jeziora jak w febrze. Woźnica powoli poprowadził do domu swoje dzikie bestje, tamci przy powozach zostali, a my sobie we trójkę siedzieli w chałupce, całkiem po przyjacielsku.

— Spodziewam się kuzynku, żeś się w takiej przynajmniej chwili nie popisywał ze zwykłą u ciebie...

— Gburowatością? — uzupełnił radca, przerywając pannie Linie, która mówiła z całem namaszczeniem. — Niestety! nie szło to jakoś — westchnął ciężko, jakby tego w duszy żałował. — Hrabina była jeszcze zawsze śmiertelnie blada i na pół zemdlona, a ja dostałem także coś na pamiątkę, draśnięcie w ramię, które jednak mocno krwawiło. Biedna Jadzia, biegała od jednego do drugiego, strwożona i niewiedząca kogo ma naprzód ratować. W takich sytuacjach grzeczność sama z siebie przychodzi. Przesadzaliśmy się też w uprzejmości i byli niesłychanie jedno o drugie troskliwi. Miałem jeszcze nadzieję, że to wszystko skończy się na kilku słówkach ze strony hrabiny i na kilku ukłonach z mojej strony; to też wyglądałem z utęsknieniem powozu z Ettersberg, aby czmychnąć czemprędzej z córką na piechotę do domu. Tymczasem wpada jak bomba hrabia Edmund. Z raportu przestraszonego sługusa, zrozumiał że matka zraniona, pokaleczona, może już i dogorywa. Nie czekając więc na nic, skoczył na konia nie osiodłanego i przyleciał do nas jak warjat. Nie byłbym posądził tego wiercipięty, że ma tak wiele serca. Skoro matkę całą i żywą zobaczył, upadł jej do nóg jak długi i w pierwszej chwili nic oprócz niej nie widział i nie słyszał. To mi się podobało, bardzo podobało! Zdaje się, iż matkę kocha namiętnie.

Głos opowiadającego znacznie złagodniał. Na nieszczęście panna Lina licząc na tak miękkie usposobienie, pozwoliła sobie wyciągnąć chustkę z kieszeni i nieznacznie do ócz przytknąć. To jej rozrzewnienie podziałało natychmiast na pana radcę w odwrotnym kierunku.

— Cóż to znowu? — krzyknął — bodaj nie płakać zamyślasz? Bardzo sobie wypraszam wszelkie podobne sceny rozczulenia, miałem już tego powyżej uszów! A więc tedy, naturalnie — nawiązał znowu nić opowiadania — przyszło do pytań i objaśnień, przyczem ja mimo gwałtownego wypierania się i wzdrygania, wyszedłem na zbawiciela i bohatera! Hrabina rozpływała się, wynurzając wdzięczność swoją, gdy raptem Edmund rzuca mi się na szyję, ściska do uduszenia i zapewnia najuroczyściej, że nikomu w świecie nie zawdzięczał by chętniej życia matki, niż mnie właśnie, który jestem ojcem j e g o J a d w i n i! — Tu kroki radcy stały się szybsze i cięższe, a twarz ponsowa z oburzenia. — Tak, tak powiedział bez najmniejszej żenady: „O j c u j e g o J a d w i n i!“ Chcę się gwałtem wyswobodzić... aha! z drugiej strony wiesza mi się Jadzia, i to samo o jego matce w ucho mi kładzie... wreszcie podnosi się zwolna hrabina, wyciąga do mnie obie dłonie i... i... resztę możesz sobie „w twem czułem sercu dośpiewać“. Jak mówiłem byliśmy otoczeni atmosferą duszącą, płaczu, zaklinań, uścisków bez końca i dopierośmy oprzytomnieli, gdy powóz przed domem zaturkotał. Ponieważ się pokazało, że nasz do niczego, hrabina zabrała nas przemocą prawie do zamku. Koniec końców Jadzia tam już została, przy hrabinie, która istotnie wygląda bardzo biednie i opamiętać się nie może, a ja! siedzę tu samotny, jak sowa w gołębniku, nie widząc ani jednego człowieka!

— Proszę bardzo! przecież ja jestem człowiekiem! — zaprotestowała do żywego dotknięta panna Lina.

Radca mruknął coś niezrozumiałego, gdy w tem wszedł lokaj anonsując wizytę miejscowego proboszcza, który z dworem żył na stopie bardzo przyjacielskiej

— Tego mi tylko brakowało! — krzyknął radca rozpaczliwie za głowę się chwytając. — Niezawodnie chce mi składać życzenia z powodu zaręczyn. Już kawki na dachach o tem wiedzą! Nie mogę wyjść za próg, żeby mnie nie witano słodkim uśmiechem i jeszcze słodszem zapewnieniem „o wielkiej r a d o ś c i z powodu tak r a d o ś n e g o wypadku“. Tego dłużej nie wytrzymam! Muszę to w sobie przetrawić, muszę się z tem oswoić dopiero. Lina, błagam cię! przyjm sama proboszcza! W mojem chwilowem usposobieniu, najchętniej wyrzuciłbym wszystkie gratulacje, wraz z gratulującymi... przez okno!

Z ostatniem słowem uciekł radca czem prędzej z salonu, podczas gdy drugiemi drzwiami wtaczał się jak piec okazały proboszcz, a z grubych warg jego od ucha do ucha uśmiechniętych, wypadało istotnie pełne namaszczenia oświadczenie „jako nie posiada się z r a d o ś c i, iż może przyjść powinszować swoim czcigodnym kolatorom, tak r a d o ś n e g o wydarzenia, jak zaręczyny panny Jadwigi, z młodym hrabią na Ettersbergu!

Nadszedł dzień, w którym Edmund miał zostać panem na Ettersbergu.

Hrabina uznała tę chwilę za najstosowniejszą, aby rozwinąć przepych, na jaki tylko stać było tę starożytną siedzibę i zgromadziła w licznych salach zamku towarzystwo doborowe, na uczczenie syna ordynacji.

Cały zamek płonął światłem tak rzęsistem, iż mogło iść o lepsze z blaskiem słonecznym; sale napełniały się gośćmi dystyngowanymi, którzy Edmundowi podwójne życzenia składali, jako ordynatowi i jako szczęśliwemu narzeczonemu.

Zaręczyny narobiły ogromnego hałasu w okolicy. Znajdowano całkiem naturalnem, że hrabina podała rękę do zgody człowiekowi, który jej życie z narażeniem własnego uratował. Również naturalnem było, iż następnie wyrzekła się dla szczęścia syna t r a d y c j i arystokratycznych, pozwalając na małżeństwo, któremu zrazu tak bardzo była przeciwną.

Nikt się nie dziwił, że i upór pana radcy zmiękł w obec scen, tak rozczulających. Zresztą proces wygrał; miłość własna jego była więc zadowoloną. Wybór hrabiego Edmunda, podpadał nie tyle krytyce, ile raczej zazdrości, a to szczególniej u wszystkich młodych jego towarzyszy. Właścicielka dwóch majątków jak Brun-

neck i Dornau, była stosowną partją nawet dla ordynata na Ettersbergu. Nie jeden w tym czasie z najwyższej arystokracji zawierał związki podobne, którym nie towarzyszyły przygody równie romantyczne i których przedmiot nie był tak piękną, tak czarującą istotą, jak Jadwiga Rüstow. Jakkolwiek zapatrywano się na tę sprawę, para narzeczonych była zewsząd otoczona szmerem grzeczności i słówek najpochlebniejszych.

Baron Heideck nie przybył na tę uroczystość, chociaż jako dawny opiekun, był na pewno oczekiwany. Nie chciał nic spuścić, ze swojego na tę całą sprawę zapatrywania i listownie nie omieszkał posłać siostrze całego szeregu wyrzutów najostrzejszych, jak mogła dać się porwać wzruszeniu chwilowemu, jak mogła tak łatwo zapomnieć co winna tradycjom familijnym i przyzwolić na związek, któremu on jest i będzie przeciwny. Nie wiedział o ile już przed tym wypadkiem, miłość i słabość dla najdroższego jedynaka, osłabiła była i podkopała niechęć wszelką i tradycje rodowe u matki, która chciała aby on przynajmniej poszedł w wyborze żony za sercem, gdy jej w tym samym wypadku, jedynie za rozumem iść kazano. Na list zapraszający siostrzeńca, odpowiedział baron lodowato: „że zajęcia biurowe odjechać mu ze stolicy nie pozwalają, a co do zdania opieki, odrobi to urzędownie i nie potrzebuje jeździć do Ettersberg.“

Edmund zniósł tę niełaskę bardzo lekko, tem boleśniej atoli była nią hrabina dotknięta. Od najpierwszej młodości była pod wpływem brata, a w tym przypadku, w głębi duszy zupełną mu słuszność przyznawała. Czuła jednak, że gdy raz się krok stanowczy uczyniło, trzeba ukryć starannie wszelką niechęć przed światem. Postępowanie jej tego wi eczora było tak pełne taktu i uprzejmości, iż obecni byli przekonani, że nie syn wymógł na niej przyzwolenie, lecz że przyszły jego związek posiada teraz całą jej sympatję.

Otoczona synem i jego narzeczoną, przyjmowała u drzwi głównych gości. Była w prześlicznej toalecie i nigdy może jej uroda nie jaśniała w takim blasku jak dzisiaj, kiedy wytrzymywała zwycięzko porównanie z Jadwigą, tym pączkiem ośmnastoletnim, z tą wiosną uosobistnioną, obdarzoną również, nie tylko pięknością niezwykłą, lecz i wonią świeżości i młodości, której nic w świecie zastąpić nie zdoła. Wzrok Edmunda przenosił się często z narzeczonej na matkę i spoczywał na tej ostatniej z wyrazem takiego zachwytu, iż widocznem było, że jego piękna matka dotąd równe, jeżeli nie wyższe w jego sercu miejsce zajmuje.

— Hrabina dzisiaj prawdziwie wspaniale wygląda — przemówił pan radca do swojej kuzynki. — Istotnie imponująco! A fety umie urządzać, fiu! fiu! tego jej także nikt nie odmówi. Jak każdy jej ruch, każde słowo ma cechę arystokratyczną, i co za osobliwszy talent, żeby być zawsze środkowym punktem całego towarzystwa. Wszyscy zdają się tu być na to tylko, aby jej wartość podnosić. Jak ona umie każdego zająć, każdemu miłe słówko powiedzieć. Jadzia co prawda, może jeszcze bardzo wiele od niej się nauczyć i skorzystać pod każdym względem.

— Lubisz zawsze kuzynku wpadać w ostateczności — zauważyła panna Lina, wciśnięta w kąt kanapy i z tamtąd wszystkich spokojnie obserwująca. — Z nienawiści, wpadasz w bezwzględne uwielbienie dla hrabiny. Nawet ją tego wieczora kilka razy w rękę całowałeś.

— Czy ci się to znowu niepodoba? — mruknął radca obrażony. — Żądałaś w domu solennej obietnicy, żebym tego wieczora bawił się w grzecznego adonisa, a gdy ja robię potemu nadludzkie wysilenia, nie chcesz ich uznać i ocenić jak należy.

Panna Lina uśmiechnęła się trochę złośliwie.

— Ależ przeciwnie! Uznaję i admiruję! wraz z całem towarzystwem, które również ze zdziwienia ochłonąć nie może. Wszyscy przyzwyczajeni widzieć cię wiecznie gromowładnym i chmurnym Jowiszem; tą nagłą, słoneczną jasnością, są naprawdę olśnieni. Ale jeszcze jedno. Co zaszło między Jadzią a Oswaldem? Unikają się nawzajem w sposób uderzający.

— Z tym kuzynkiem Edmunda? Nic wcale nie zaszło, tylko że ona go nie cierpi, a on ile się zdaje, nie wiele na to uważa.

Ostatnie słowa brzmiały oburzeniem. Radca nie mógł pojąć, żeby ktoś potrafił oprzeć się jego córki urokowi i nic sobie z jej niełaski nie robił.

— Ta wspólna niechęć musi mieć jakąś głębszą przyczynę. Już to w ogóle młody Ettersberg nie zdaje się grzeszyć zbytnią uprzejmością.

— Ale za to posiada niesłychane gospodarskie zdolności! — zawołał radca pełen entuzjazmu. — Gdyby on majorat w ręce dostał, inaczej by tu po kilku latach wyglądało. Przenika okiem znawcy wszystko, coby się dla ulepszenia gospodarstwa i podniesienia intraty zrobić dało. Mówiliśmy tu kiedyś o tem długo i szeroko. Dał mi różne doskonałe wskazówki i będę musiał sam się w to wmieszać, jeżeli Edmund większej energji pod tym względem nie rozwinie.

— Prawda, mówiliście bardzo długo — wtrąciła panna Lina. — Zdawało się, jakby umyślnie przeciągał rozmowę z tobą w nieskończoność, aby nie słyszeć czułości, któremi Edmund narzeczoną obsypywał.

— Zdaje mi się, że i on ma arystokratyczne muchy w nosie, i że te nagłe zaręczyny nie zyskały wcale jego najwyższego uznania. Uważałem to, gdyśmy po owym wypadku wysiadali we czwórkę przed zamkiem. Gdy zobaczył Edmunda, obejmującego w pół narzeczonę, by ją wynieść z powozu na ganek, takim wzrokiem niełaskawym ich zmierzył, że to mi się wcale a wcale nie podobało. Sam zaś wyglądał jakby piorun w niego strzelił z jasnego nieba. Wprawdzie prędko się opamiętał i starał się być bardzo grzecznym, jednak i ubolewanie nad wypadkiem stryjenki, również jak życzenia składane Edmundowi, wszystko brzmiało sucho i lodowato, jakby z musu tylko. Wiele serca nie zdaje się posiadać, ale jest skończonym genjuszem gospodarskim!

— Czy ten pochlebny wykrzyknik mnie się tyczy? – spytał Edmund stając za plecami radcy, wraz z swoją piękną narzeczoną.

Radca obrócił się szybko.

— Ciebie? Nie! Mówiliśmy o twoim kuzynie. Ty niestety, nie zdajesz się mieć najmniejszych w tym kierunku zdolności.

— Nie, nie, najmniejszych! — zapewniał Edmund śmiejąc się. — Przejrzałem to jasno, gdym był ostatni raz w Brunneck. My oboje z Jadwinią, łapaliśmy zaledwie dziesiąte słowo z waszych rozpraw nigdy się nie kończących, o utrzymaniu lasu, drenowaniu, nawożeniu i tem podobnie... były to bardzo mądre rzeczy, ale straszliwie nudne!

— Śliczne aspekta na przyszłego dziedzica Ettersbergu z przyległościami! — radca gniewnie odburknął. — Więc nasza rozmowa nudną ci się wydała? Zapewne! Ty i Jadwiga nie zamieniliście jednego słowa rozsądnego, tylkoście się śmiali i droczyli bez końca. A powinienbyś był słuchać uważnie naszej rozmowy, gdyż twoje bory są...

— Przez miłosierdzie Boże! Tatku najdroższy — przerwał mu Edmund pieszczotliwie — dziś przynajmniej oszczędź mi rozmów podobnych! Jeżeli masz do nich ochotę, poszukam i dostawię ci twojego genjusza. Oswald jest w stanie przez cały wieczór z tobą o uprawie pól i lasów rozprawiać. Ale gdzie on się podział? Znikł mi z oczu przeszło od godziny. Eberhard, nie widziałeś przypadkiem pana Oswalda? Czy jest może w głównym salonie?

— Nie jaśnie panie — odrzekł stary kamerdyner, przechodząc z tacą pełną chłodników. — Właśnie z tamtąd wracam, tam go niema.

— Muszę go sam poszukać. Już to gdzie idzie o grzeczność salonową, nie można w najmniejszej rzeczy liczyć na Oswalda. Cały ciężar na moją biedną głowę zwalił. Chodź Jadziu! Tańce rozpoczną się wkrótce, zobaczymy czy wszystko po temu przygotowane.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GENJALNY INŻYNIER.

NOWELLA.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Harold Fraser sam rozstrzygał o swojej przyszłości. Kiedy w trzy dni później Sir Ryszard przyszedł wieczorem pod lipy, rodzice oznajmili mu o postanowieniu syna.

— Bardzo mądrze zrobił — rzekł inżynier — komu Bóg dał tak wielkie zdolności, ten nie powinien marnować ich w wiejskiem ustroniu.

Zauważył wzruszenie malujące się na opalonej twarzy starego wieśniaka, łzy kręcące się w oczach matki — zdjęła go litość nad rodzicami, którym zabierał ukochane dziecię.

Na folwarku smutno było i cicho przez następnych dni kilka. Żadnych nie czyniono przygotowań, gdyż Sir Ryszard zapowiedział, że przejeżdżając przez Londyn kupi Haroldowi wszystko, co mu będzie potrzebne. Oni już nic dla syna uczynić nie mogli.

Ojciec chodził chmurny i posępny, matka ukradkiem łzy ocierała, cichy, powolny Desford milczał, jedna tylko Kasia cieszyła się, że Harold będzie panem.

W dzień oznaczony na wyjazd, Harold zerwał się o świcie i wybiegł do lasu, na łąki, nad strumień, kolejno żegnając ukochane miejsca, gdzie tak wesoło zbiegły mu lata dziecinne. Słońce lipcowe wysoko już wzniosło się na niebie, kiedy wrócił aby przygotować wszystko do wyjazdu. Łzy strumieniem popłynęły z oczu chłopca, który się rzucił w objęcia matki, całował spracowane dłonie ojcowskie, ściskał płaczącą siostrę i brata.

— Żegnaj, drogie moje dziecko — mówiła matka przerywanym głosem — a nie zapominaj o nas...

— Żegnam cię mój synu — rzekł wzruszony ojciec — pozostań zawsze uczciwym i zacnym.

Sir Ryszard naglił, trzeba więc było skończyć pożegnania i odjechać. Załzawionemi oczyma raz jeszcze spojrzał na chatę...

— Niech cię Bóg błogosławi! — zawołała matka za odjeżdżającym synem.

III.

— Witam cię w moim domu — rzekł sir Ryszard Vibart, kiedy w duszny wieczór lipcowy podróżni stanęli w Lulworth — mam nadzieję, że ci tu będzie wcale dobrze.

Serdeczne słowa opiekuna zbudziły wdzięczność w duszy chłopca.

Służba wcale się nie zdziwiła, ujrzawszy obcego przybysza, z którym pan domu obchodził się jak z synem. Znane były dziwactwa sir Ryszarda, ale geniusz miał prawo postępować inaczej, niż pospolici ludzie; nikt sobie nie wyobrażał, żeby on mógł się kiedy ożenić, podobnie jak inni śmiertelnicy.

Harold był po prostu olśniony, ale też Lulworth stanowił prawdziwie pańską siedzibę. Stary, okazały zamek, z nowożytnym umeblowany przepychem, mieścił wspaniałe komnaty, rzeźbionym dębem wyłożone, dziwaczne, gotyckie okna, szerokie galerje, poważne

wieże, obrzucone zwojami bluszczu i piękne, kamienne tarasy, spuszczające się ku prześlicznym ogrodom. Ten stary, imponujący gmach, miał być odtąd domem dziecięcia ludu, wzrosłego w skromnej chacie wieśniaczej, ale posiadającego rzadki dar boży — geniusz.

Sir Ryszard zachwycał się pojętnością i wrodzonym taktem swego wychowanka. Wśród tego zbytku i przepychu, dotąd nieznanego mu nawet z powieści, chłopiec był jak u siebie i nigdy ani słowem ani ruchem nie zdradził swego pochodzenia. Przy stole uważał zawsze na zachowanie się pana domu i we wszystkiem go naśladował. Zanim tydzień upłynął, wiejskie dziecię znało tak dobrze przepisy etykiety i dobrego tonu, że sir Ryszard, nader pod tym względem wymagający, nie mógł mu nic zarzucić.

Harold miał swój własny apartament i osobne biurko w pracowni opiekuna. Lekcje zaczęły się nazajutrz po przyjeździe; stosownie do przewidywań sir Ryszarda, genialny chłopiec zadziwiające robił postępy. Przyjemnie mu było patrzeć na tę kształtną głowę, pochyloną nad papierami; z rozkoszą śledził jego pilność, pracowitość i natężoną uwagę — Harold we wszystkiem był podobny do niego.

— Wyglądasz raczej na pustelnika, zagłębionego w pobożnych ćwiczeniach, niż na młodego chłopca, uczącego się lekcji — mawiał żartobliwie.

Codzień był więcej zadowolony z tego przybranego syna.

— Narysuj Haroldzie plan mostu, który by się opierał na wzgórzach — żądał sir Ryszard, a po chwili wziąwszy szkic, przyglądał mu się z dumą i szczerą radością.

— Pójdziesz wyżej odemnie — rzekł raz do niego.

— Wszystko winien będę panu — odpowiedział z wdzięcznością Harold.

W rok po przyjeździe do Lulworth, sir Ryszard załatwiwszy interesa, wybrał się ze swoim wychowankiem w długą podróż po Europie, żeby dopełnić jego wykształcenia. Kolejno mu pokazywał najśmielsze i najdłuższe mosty, koleje żelazne zbudowane pomimo olbrzymich trudności, prawdziwe tryumfy sztuki inżynierskiej, słowem, nie opuścił żadnego ważniejszego dzieła, na miejscu zaraz objaśniając i tłumacząc przeszkody, z jakiemi walczyć musiał przedsiębiorczy duch człowieka.

Kiedy po dwóch latach podróży dziewiętnastoletni Harold wrócił do kraju, był już mężczyzną. Ciemny wąsik nadał jego pięknej twarzy powab męzkości, bujne włosy ocieniały szerokie, myślące, białe jak u dziewczyny czoło, kształtna, wysmukła postać, uderzała wdziękiem i siłą. Swobodny, wytworny, grzeczny, wszystkich umiał sobie zjednać; sądząc po jego obejściu i powierzchowności, każdy by go wziął za syna arystokratycznej rodziny.

Namiętnie oddany pracy i nauce, zapalił się do projektu połączenia Francji z Anglią długim podmorskim tunelem i wydał w tym celu dzieło pod tytułem: Najlepsza droga między Francją i Anglią. Świat zwrócił uwagę na tę pracę i ciekawie pytali wszyscy, kto jest autorem. „Młody Vibart“ — brzmiała odpowiedź. Nie badano, czy to przybrane dziecko; wszyscy byli przekonani, że genialny młodzieniec jest synem sir Ryszarda i świetną rokowali mu przyszłość.

— Droga do sławy stoi otwarta przed tobą Haroldzie — rzekł jego opiekun — czekają cię na niej tryumfy, zaszczyty i bogactwa. Mógłbyś się już obejść bezemnie, ale ja nie potrafiłbym żyć bez ciebie już nigdy.

Obiecującemu młodzieńcowi nie szczędzono słów uznania i pochwały.

— Strzeż się pochlebstwa — radził sir Ryszard — świat chce cię niem upoić, ale ty trzymaj się zdala od jego pokus i ponęt, nie porzucaj pracy i nauki, bo teraz najwłaściwsza pora do tego. Później, kiedy będziesz starszy, używaj rozrywek i odpoczynku.

Przez te trzy lata Harold dwa razy odwidził rodziców, wszystko wydało mu się tam zmienionem, choć wszystko było po dawnemu. Pospolity, ogorzały wieśniak, z namulonemi rękoma i prostem ubraniu, nie wyglądał wcale na ojca tego wytwornego panicza o białych, wypieszczonych dłoniach. Obaj nie rozumieli się już i z tego powodu pewien chłód i przymus zapanował między nimi.

Serce matki nie zważało na te różnice — cóż z tego, że syn stał się panem, zawsze on jest ukochanym dziecięciem. Z miłością i zachwytem wpatrywała się w niego, dla niej był on najpiękniejszym, najwytworniejszym, najmądrzejszym młodzieńcem na świecie. Nikt nie mógł się z nim równać.

Desford, jak zawsze, zajęty był tylko rolą, ale Kasia z każdym rokiem rosła i pięknaiała.

Młodzieniec nigdy nie przyjeżdżał do domu z próżnemi rękoma; dla każdego przywoził liczne i kosztowne podarunki, które matka z dumą pokazywała krewnym i znajomym, sławiąc dobre serce syna.

Odwidziny bywały krótkie, ale zostawiały po sobie miłe wspomnienie. Z czasem jednak rosła odległość dzieląca go od rodziny; stary ojciec niemal się obawiał syna, który wyrażał się i wyglądał jak panowie; Desford był cichy i nieśmiały w obec brata, tylko matka i Kasia mówiły z nim i pieściły jak dawniej.

Harold coraz rzadziej zaglądał do rodzinnego domu, ale jako dowód pamięci co kwartał posyłał im znaczną sumkę, która wzrastała w miarę, jak rozszerzał się zakres jego pracy.

Jedenaście lat upłynęło od chwili, kiedy sir Ryszard odkrywszy geniusz w chłopcu, nie pozwolił mu pleśnieć w wiejskiej zagrodzie — imię Harolda Vibarta znane już było w całej Europie. Jego opiekun i dobroczyńca coraz więcej zapadał na zdrowiu i stopniowo kierunek najważniejszych robót powierzał genialnemu młodzieńcowi, który się z nich wywiązywał z ogólnym podziwem i zadowoleniem.

Jednego poranku, kiedy obaj siedzieli przy śniada-

niu w Lulworth, kamerdyner podał jak zwykle listy i dziennniki.

— Przeczytaj co nam dzisiejsza poczta przyniosła — rzekł sir Ryszard.

Nie miał on tajemnic dla ukochanego wychowanka, zresztą nie było ich w jego życiu.

Posłuszny Harold czytał kolejno listy z różnych krajów i okolic, w odmiennych pisane językach, a łatwo mu to szło, bo władał biegle mową Niemców, Francuzów i Włochów,

— List z herbową pieczęcią... od kogo też może być? — rzekł Harold, nie wiedząc, że trzyma los swój w ręku.

— Lord Andley z Ulverscroftu, hrabstwo Surrey — przeczytał.

— To mój dawny znajomy — rzekł sir Ryszard — czegoż on żąda?

— Rzeczka Ulver przepływa przez jego dobra, a ponieważ jest bardzo bystra, więc często wylewa i znosi drewniane mosty. Lord Andley pisze, że koniecznie trzeba wznieść piękny, murowany most, który by zarazem stanowił ozdobę i odpowiadał swemu celowi; z powodu ruchomego, piaszczystego dna rzeki, nie będzie to łatwem zadaniem. W końcu jest prośba, żebyś zechciał sir Ryszardzie spędzić tydzień w zamku i sam zbadać miejscowość.

— Nie jestem zdrów, nie mogę więc pojechać. Proszę cię, napisz do lorda Andley'a, że z wielkim żalem, ale niepodobna mi korzystać z tak miłego zaproszenia; na moje miejsce poszlę mu ciebie.

— Nie wiem, czy będzie rad temu — rzekł Harold — pragnie, żebyś ty przyjechał.

— To być nie może, siły moje słabną z dniem każdym — westchnął sir Ryszard — jestem pewny, że lord Andley będzie zachwycony tobą Haroldzie. Proszę cię pojedź do Ulverscroftu, jest to jedna z najpiękniejszych rezydencyj w Anglji; oddawna mówiłem, że na rzece potrzebny jest most, ale bardzo lekki i ozdobny.

Harold schwycił ołówek i zaczął rysować plan mostu, który by łączył piękność, moc i lekkość. Oczy mu błyszczały, rumieniec krasił delikatne lica, a kształtne, białe dłonie szybko kreśliły zarysy prześlicznego, z artyzmem wykończonego mostu. Podał szkic opiekunowi, który z dumą i wzruszeniem spojrzał na niego.

— Przypominasz mi Kwentyna Matsysa — rzekł z uśmiechem.

Harold spochmurniał — słowa opiekuna przypomniały mu, że był dziecięciem ludu, że w wieśniaczej urodził się chacie, a dumny młodzieniec nie mógł znieść tej prawdy. Przebywając w najwyższych sferach towarzystwa, które go uważało za równego sobie, nauczył się wstydzić swego pochodzenia i starannie je ukrywać; — ta jedna tylko wada kaziła jego genialną duszę. Porównanie do Kwentyna Matsysa, który podobnie jak on z nizkiego pochodził stanu, ukłuło go boleśnie; przykrość tę zaledwie osłodzić zdołały pochwały oddawane przez mistrza i opiekuna.

— Lord Andley będzie oczarowany twoim pomysłem — mówił sir Ryszard — ma on dobry smak; nie chcę ci pochlebiać Haroldzie, ale przyznać muszę, że nic piękniejszego nie widziałem jeszcze. Proszę cię, odpisz zaraz hrabiemu.

IV.

Lord Andley, odebrawszy przy śniadaniu list młodego inżyniera, podał go córce, hrabiance Lilianie.

— Przeczytaj to Lili — rzekł — przykro mi bardzo, że Sir Ryszard nie będzie mógł przyjechać, ale wymawia się chorobą i osłabieniem; przysyła na swoje miejsce przybranego syna i wspólnika, Harolda Vibart'a. Słyszałem o nim dużo, bardzo zdolny młodzieniec.

— Autor broszury o podmorskim tunelu?

— Ten sam — potwierdził hrabia — przyjemnie mi będzie go poznać. Pisze, że przyjedzie we wtorek, czy ci to nie przeszkadza, moja droga?

— W przyszłym tygodniu przybędzie do nas lady Sydonia i półkownik Gordon, ale to nic nie szkodzi — pan Vibart nie będzie moim gościem, lecz twoim, ojcze.

— Naturalnie, moje dziecko — szybko przywtórzył hrabia, który trochę się obawiał pięknej i dumnej córki — tylko widzisz, pan Vibart jest człowiekiem bardzo dobrze wychowanym i chętnie widzianym w najpierwszych domach, będziemy więc musieli przypuścić go do naszego towarzystwa i obchodzić się z nim jak z równym.

— Żyjemy, niestety, w wieku bardzo demokratycznym, drogi ojcze — będę więc grzeczną dla pana Vibarta.

— Rozumiem cię Lili — westchnął hrabia — przyjmiesz tego młodzieńca w sposób tak mrożąco grzeczny, że biedak będzie chciał uciec ztąd jak najprędzej. Wiem jak się obchodzisz z ludźmi tego rodzaju.

— Bardzo mi przykro, że moje postępowanie nie podoba się ojcu — dumnie rzekła miss Liliana.

— Ależ owszem, bardzo mi się podoba — żywo zaprzeczył lord Andley — tylko nieraz żal mi serdecznie tych biedaków. Jestem przekonany, że będziesz bardzo uprzejmą gospodynią dla Vibarta. Most na tej rzece, to marzenie mego życia, oddawna już pragnąłem sprowadzić w tym celu sir Ryszarda, którego wysoko szanuję. Wiem, że mu zrobię wielką przyjemność, przyjmując jego wychowanka grzecznie i gościnnie.

Dumne oblicze hrabianki rozpogodziło się, białe jej ramię pieszczotliwie otoczyło szyję ojca.

— Możesz prosić kogo ci się podoba, drogi ojczulku — rzekła z przymileniem — nie jestem znowu tak bardzo dumną.

Uśmiechnęła się do niego tak słodko, że kamień mógłby poruszyć.

— Tyś najmilszą na świecie córeczką — rzekł roz-

czulony hrabia — ale zarazem jesteś najdumniejszą dziewicą w Anglji; sądzę, że cię to nie obraża?

— Owszem, pochlebia mi ojcze — odpowiedziała.

„Najdumniejsza dziewica w Anglji“ — wszyscy nadawali to miano pięknej dziedziczce Ulverscroftu, co dziwniejsza jednak, że nie zjednywało jej to nieprzyjaciół. Uważano nazwę tę za rzecz naturalną, mówiono, że jej do twarzy z taką dumą.

Miss Liliana liczyła dopiero dziewiętnastą wiosnę, a od dwóch lat już królowała w modnym świecie, który rzadko ogląda podobne zjawisko — dziewicę tak młodą, tak piękną, a przytem tak dumną, dostojną i czystą, niezepsutą hołdami, które zawróciłyby głowę każdej innej próżnej i pospolitej istocie. Książęta z uszanowaniem pochylali przed nią głowy, ubiegając się o jeden jej uśmiech — ale ona żadnego nie obdarzyła swą łaską. Synowie parów szukali jej towarzystwa, żaden jednak nie mógł się pochwalić, że ta urocza istota zwróciła na niego uwagę. Hołdy, pochlebstwa i komplementa żadnego na niej nie czyniły wrażenia.

Prócz niepospolitej piękności, prawdziwie arystokratycznej, posiadała jeszcze tytuł hrabiowski i ogromny majątek, była jedyną córką i dziedziczką lorda Andley, para Anglji. Nie dziw, że świat ją uwielbiał i jednozgodnie oddał jej berło królewskie, które ona dzierżyła z niezrównanym wdziękiem i godnością. Nie tylko złota młodzież składała jej hołdy, urokowi miss Liliany ulegali starzy politycy, poważni mężowie stanu i uczeni pisarze, którzy wysoko przytem cenili jej umysł bystry i wykształcony, wzniosłą i szlachetną duszę, jaśniejącą w wielkich, zadumanych oczach. Była to więcej niż modna piękność i królowa balów.

O rękę hrabianki ubiegali się hrabiowie i książęta, synowie najpierwszych i najmożniejszych rodzin w kraju, ale ona wszystkim odmawiała. Serce jej dotąd nie przemówiło, a bez miłości nie chciała iść za mąż. Ojciec pozostawił jej zupełną swobodę wyboru, raz tylko odważył się zrobić córce uwagę, kiedy odrzuciła rękę młodego księcia Cortland.

— Dlaczego nie chciałaś zostać jego żoną, Lili? — zapytał hrabia.

— Dlatego, że był zanadto uległy — odpowiedziała miss Liliana — mogłam z nim robić, co mi się podobało. Nie pójdę za mąż, dopóki nie znajdę mężczyzny, któryby nademną zapanował.

— A jak nie będzie mógł, — rzekł hrabia z powątpiewaniem.

— Musi, — stanowczo zapowiedziała panna.

— Lękam się Lili, że wcale w takim razie za mąż nie pójdziesz.

— Bądź spokojny ojcze, znajdę swego pana.

— Mądry to będzie człowiek, co potrafi pochylić tę dumną główkę.

— Zacznie od serca, reszta mu przyjdzie łatwo.

V.

Zamek Ulverscroft był niegdyś opactwem i normandzkie jeszcze pamiętał czasy; świadczyły o tem potężne sklepienia, śmiałe łuki gotyckie, wysmukłe wieżyce i cudownie rzeźbione kamienne portyki. Sędziwy gmach, pełen powagi i wspaniałości, zawierał mnóstwo historycznych wspomnień: król Henryk VIII. wypędził ztąd zakonników i dał opactwo jednemu z ulubieńców; nieszczęśliwa Marja Stuart nocowała raz w zamku; uczty wyprawiane w olbrzymiej sali jadalnej, co niegdyś była refektarzem, zaszczycała swą obecnością królowa Anna. Opodal zamku wznosiły się starannie zachowane ruiny kościoła, na których piął się bluszcz, powoje i róże.

Dawni zakonnicy, obierając siedziby, szczególną zwracali uwagę na piękność położenia, słynęły też z malowniczości okolice Ulverscroftu, a mianowicie ogromny park, połączony z ogrodami okalającemi zamek.

Jednego dnia przed zachodem słońca stał na tarasie urodziwy młodzieniec i z zachwytem spoglądał na piękny krajobraz, na siwe mury zamku, ozłocone promieniami słońca, na ruiny szczerniałe od starości i bujną okryte roślinnością. Był to Harold Vibart. Posłano po niego powóz na stacją, ale on wolał przejść pieszo przez park i obeznać się z pięknościami tego miejsca.

— Pyszną jest ta magnacka sedziba — mówił do siebie — rozumiem, że można całą duszą ukochać taki dom rodzinny i stracić życie w jego obronie. Kto posiada takie starożytne gniazdo, musi postępować szlachetnie, żeby nizkim czynem nie splamić przodków, co zamieszkiwali w tych murach.

Gdyby on był dzieckiem tego domu, jakżeby się z tego szczycił, jakby uwielbiał każdy kamień, każdą niemal cegłę składającą gmach wspaniały.

Rozwarły się przed nim ciężkie dębowe podwoje i olśniony młodzieniec ujrzał szereg przepysznych komnat, w porównaniu z któremi gasły zbytkownie urządzone apartamenta w Lulworth. W wielkiej, sklepionej bibliotece, lord Andley przyjął go tak mile i serdecznie, że Harold odrazu uczuł się swobodnym. Chwil kilka rozmawiali o sir Ryszardzie i słabnącem zdrowiu znakomitego inżyniera.

— Zdaje mi się, że pan jesteś przybranym synem? — zagadnął hrabia.

— Nie mylisz się, milordzie — odrzekł Harold.

Lord Andley był przekonany, że między sir Ryszardem a pięknym młodzieńcem, zachodziło pokrewieństwo.

— Jutro pojedziemy nad rzekę i wybierzemy najstosowniejsze miejsce na most — mówił hrabia — moja córka, miss Liliana, także z nami pojedzie. Słyszę dzwonek — czas się ubierać, zechcesz pan przejść do swego apartamentu. Obiadujemy o ósmej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.